



Widzimię - felieton Ryszarda Kozika

2021-05-26

Coś za coś, czyli pożegnanie z maseczkami

Czy nam się to podoba czy nie, to właśnie maseczka jest symbolem pandemii. Bardzo wieloznacznym i wielokrotnie złożonym.

Dla niemal wszystkich maseczki są uciążliwe. Piszę niemal, bo zawsze znajdzie się jakiś wyjątek od reguły. Mam jednak kłopoty z wyobrazeniem sobie osoby, która nosi je z przyjemnością. Ciężiej się w nich oddycha, okulary zaparowują, znajomych na ulicy trudno rozpoznać (w moim przypadku to akurat wygodne tłumaczenie, bo zawsze miałem z tym problem – pędząc dokądś, zwykle nie rozglądam się dookoła), no i jeszcze od czasu do czasu zdarzy się zapomnieć i trzeba po nie wracać. Chociaż z tym ostatnim po ponad roku ograniczeń jest już lepiej, bo maseczki zdążyliśmy poupychać po różnych torbach, torebkach i częściach garderoby, więc prawie zawsze mamy jakąś pod ręką.

Są też tacy, dla których maseczka jest symbolem represji i ograniczeń. Na profilach wyznawców teorii spiskowych znajdziemy liczne, kombatanckie opowieści o tym, jak to jadąc komunikacją miejską, musieli znosić nienawistne spojrzenia i upokorzenia, bo ktoś np. zwracał im uwagę „tylko dlatego”, że jechali bez maseczki. Ale dzielni byli, wytrwali i są z tego dumni. No i mają nadzieję, że kogoś udało im się przy okazji przekonać, bo jeden pan mrugnął, a inny dyskretnie zsunął z nosa. Brzmiałoby to może i zabawnie, gdyby nie fakt, że jest tak niebezpieczne dla nas wszystkich. W tym kontekście maseczki stają się symbolem – wybaczcie, ale muszę to napisać – głupoty.

Dla niektórych maseczki symbolizują zawiedzione nadzieje, np. wyczekiwane, a potem odwoływane śluby.

Bardzo szybko stały się też elementem ubioru, co skwapliwie podchwycili producenci odzieży, oferując szeroką gamę produktów dopasowanych kolorystyką do krawatów, much, torebek, sukienek czy butów (są nawet modele dla brodaczy, których w pandemii przybyło – nie gniołą brody). Dały nam też możliwość podkreślenia swego usposobienia i podejścia do życia. Wybierając czarną klasykę, stonowany beż, maseczki ozdobione prowokacyjnymi rysunkami i napisami, czy uśmiechniętą buzią – manifestujemy coś, choć nie zawsze zapewne świadomie.

Ja w swoich maseczkach w mróweczki, żyrafki, zeberki, misiaczki i słoniki mogę wyglądać na luzaka lub infantylnie – to już zależy od interpretacji patrzącego. Prawda jest jednak banalna: szyje je babcia moich córeczek, np. z resztek materiału, z którego najpierw uszyła dziewczynkom zastonki do ich pokoju. Dzięki, Basiu!

Przed nie lada dylematem zostały postawione przez maseczki panie (przede wszystkim, choć przecież nie tylko): malować się czy nie, a jeśli tak, to całą twarz, czy tylko oczy? Z dylematu tego bynajmniej się nie wyśmiewam, dla wielu osób makijaż jest bardzo ważny – poprawia samopoczucie, dodaje pewności siebie, jest rodzajem zbroi zakładanej na starcie ze światem. Na szczęście maseczki po części potrafią braki w makijażu zrekompensować, np. gdy sprzedawca w sklepie poprosi – a dawno już tego nie robił – o dowód osobisty przy zakupie alkoholu.



**Magiczny
Kraków**

Piszę o tym wszystkim, z nadzieją, ale i obawami, w kontekście częściowego pożegnania z maseczkami w przestrzeni publicznej. Jak było wyczekiwane, mogliśmy zobaczyć na ulicach już następnego dnia po zapowiedzi, która zbiegła się z pierwszym tegorocznym atakiem lata.

I żeby nie było, że ja o maseczkach tylko negatywnie. Każdy ma czasem taki dzień, że chciałbym się ukryć przed światem, stać choć na chwilę niewidzialny, anonimowy. Maseczki są w takiej sytuacji jak znalazł. Pozwalają też ukryć znudzenie, irytację czy po prostu kiepski humor. Zdejmując je, znów będziemy musieli czasem sztucznie wyszczerzyć ząbki, no i ziewać dyskretniej. Ale coś za coś.

Ryszard Kozik - z urodzenia i zamieszkania nowohucianin, były dziennikarz „Gazety Wyborczej”, pracownik Muzeum Krakowa